



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KOBIETY

nad brzegami Wagu i Nitry.

„Préc je Slovensko pikny swét, — Krasnejši nikde nevidet“, — śpiewa o Słowacyi czeski poeta Heyduk.

Powtarzając jego słowa, dodamy jeszcze, że piękne i szlachetne ponad brzegami Wagu i Nitry biją serca. Moznaby sądzić, że od czasu, gdy zdanie „Niema już Słowaków“ stało się hasłem na Węgrzech, urocze Tatry, bratniem ramieniem obejmując Słowacyą, strzegą już tylko samych grobów. Tak nie jest jednakże. Cały szereg wielkich patriotów, ludzi zasłużonych, oddanych społecznej i literackiej pracy, zaprzecza szowinistycznym okrzykom Kolomana Tiszy. Wprawdzie systemat madyaryzacyi, spotęgowany w ostatnich czasach, wyciska swoje piętno wszędzie.

Rozwiązanie Macierzy słowackiej, oraz madyaryzowanie szkół, obuchem uderzyły w serce patriotów. „Związki madyaryzacyi“ i tak zwane „kulturowe“ olbrzymią rozwijają agitacyą. W skład ich wchodzi zazwyczaj madyaryzowani w widokach materyalnych Niemcy Rusini i Słowacy, ludzie — dla których pieniądz jest *alfą i omegą* życia. Gadzinowe pisma, bezprzykładnie tanie, ogłupiają w dodatku i w fałszywym świetle przedstawiają massom cel madyaryzacyi. Tysiące florenów, drogą składek zbieranych lub wyznaczonych z funduszków rządowych, idą na ten cel corocznie.

Pojedyncze protesty szlachetnych Węgrów giną bezpowrotnie w tej walce nierównych sił i środków.

Cała działalność narodowa spoczywa w rękach inteligencji, złożonej z garstki duchownych obu wyznań, kupców, urzędników, rzemieślników i właścicieli drobnych posiadłości ziemskich. Z małym bardzo wyjątkiem, szlachta oddawna jest madyaryzowana. Opozycya ma jeszcze za sobą wieki senności, w jakiej spoczywał, pozbawiony politycznego życia i bytu, naród słowacki.

Ruch wywołany zjawieniem się księży Bernolaka, Hallego i innych patriotów, wzrastał stopniowo. Rok czterdziesty ósmy wstrząsnął i poruszył serca i umysły wszystkich. „Wszystko, co żyło, budziło się, a co zbudziło się: śpiewało“ — mówi słowacki poeta Botto. Za przykładem ojców, braci i mężów swoich kobiety słowackie, dotknięte w najświętszych uczuciach, zbudziły się także z długiego uspienia. „Płacz Matki Sławy“ Hollego niepokoił serca i zapalał wyobraźnią oddalonych od wrzawy życia Słowaczek. Wpatrzony w szczyty Tatr, w szumach kosodrzewiny słyszały echa żalonych skarg poety.

Z biegiem wód Wagu i Nitry płynęły ich marzenia. Pośpieszną dłoń obracały kołowrotki i dalekie, jasne jak len, snuły wraz z nią dla synów swoich marzenia. Ojczyzna „pasterzy i druciarzy“ jest już dzisiaj ojczyzną dobrze myślących i inteligentnych kobiet. Jakkolwiek w ostatnich nawet czasach kilka kobiecych nazwisk powiększyło grono piszących autorów, wieść o nich, znana tylko w własnym kraju, nie wybiega poza szczyty Krywania. Lecz wobec ciężkich i trudnych warunków życia cicha i skromna praca Słowaczek, wielkiego jest znaczenia i doniosłości, a ześrodkowywa się ona przedewszystkiem w domu i rodzinie. Podczas, gdy w szkole chłopiec słyszy wciąż powtarzany, wzdardliwy okrzyk: „Słowak nie człowiek“, matka czy go czcić i szanować ojców swoich mową. Matka śpiewa nad kołyską syna narodowe piosnki i o dawnych czasach powtarza opowieści.

Zmarły w 1877 roku, wielki patriota i pisarz słowacki, Wilhelm Pauliny-Toth, matce swej zawdzięczał wiele: była ona jego mistrzynią i przewodniczką. Gdy po śmierci swego pierwszego męża, zmuszona smutnem położeniem materyalnem, wyszła powtórnie za mąż, mały Wilhelm, oddany został do szkół w Komornie. Matka była spokojną, że syn, wychowany w szkole domowych pojęć, bezpiecznie wśród obcych przebywać może. Niestety! pierwszy uczeń gimnazjum, ulubieniec profesorów i kolegów, zachwiał się w swoich przekonaniach.

Po powrocie do domu z zapalem zaczął deklamować matce węgierskie poezye. Krystynie Pauliny serce omało nie pękło z bólu. Straszny, bolesny okrzyk wyrwał się z jej piersi: „Boże! cóż-em ja uczyniła z mojem dzieckiem!“ Rozdzierającym musiał być ten okrzyk zbolalej matki, kiedy na dźwięk jego, stojący nad przepaścią syn uchronił się od grożącego mu upadku. I jak niegdyś małemu chłopcu, tak w następnych latach gimnazyasie, matka przypominała znów dawne czasy, sławiła wielkich ludzi i hańbą piętnowała „odnarodnionych.“ Pamiętne słowa matki towarzyszyły słowackiemu patryocie zawsze. Również zasnęła i dobrze myślącą kobietą była żona Pauliny'ego, Mina Toth¹⁾. Węgierka z urodzenia, szanowała jednak przekonania i ideały męża. Nigdy najmniejsze słowo niechęci nie wybiegło z ust kochającej kobiety. Ręka w rękę szła z mężem i w duchu też narodowym, słowackim, prowadziła dom cały i wychowywała dzieci.

Kalińczak, pierwszy powieściopisarz słowacki, którego powieści i opowiadania historyczne wy-

1) Ojciec żony Pauliny'ego, szlachcie węgierski, wszystkie prawa swego nazwiska przelał na zięcia i odtąd Pauliny do swego przyłączył nazawsze nazwisko żony. Utrzymują powszechnie, że rodzina Tothów, właściwie była słowacką tylko madyaryzowaną. „Tothy“ powęgiersku znaczy „Słowak“.

traciły romanse niemieckie z rąk czytającej słowackiej publiczności, natchnienia do swych obrazów czerpał w opowiadaniach matki i babki. Obie te kobiety znalazły doskonale przeszłość swego kraju. Matka, z domu Ruttkaj, ze szlacheckiej, wyjątkowo niezmadyaryzowanej rodziny, wysoko inteligentna, w opowiadaniach swoich stawiała przed oczy chłopca historyczne postacie przeszłości, na pamięć uczyła go podań o walecznym Mateuszu z Trenczyna i innych bo haterach. Siwowłosa babka, obznajomiona z życiem zagonowych słowackich mieszkańców, zapoznawała wnuka z ich zwyczajami i obyczajami. Troski i radości codziennego życia Słowaków, uderzające wyobraźnię w opowiadaniach babki, wpoili się w pamięć przyszłego pisarza. Powieści historyczne i opowiadania Kalińczaka kreslone są z całą prawdą i wiernością. „Restauracya“, jedna z najpiękniejszych, to odbicie zasłyszanych w dzieciństwie podań, przysłów, i opowieści. Matka, w dzień zajęta domem, gospodarstwem, nocami czytywała i pracowała nad sobą, aby część zdobytej wiedzy, udzielić wsłuchanym w jej opowiadanie dzieciom. Kalińczak przyznaje się do wpływu, jaki na młodzięzję jego umysł i wyobraźnię, wywarły dwie te postacie ukochanych kobiet. Żony patryotów niejedną ciężką, wspólnie z mężami swymi, dzieliły dolę. Żona Józefa Miłoslawa Hurbana, w trwodze o los męża, podczas, gdy on ścigany przez węgierskich żandarmów, chronił się z jednej miejscowości do drugiej, tuląc do siebie dzieci, z bólem w sercu patrzyła na wystawioną dla niego przed domem szubienicę. O żonie też pisze Hurban w więzieniu:

Za tymi horami
Mojej lasky śwety,
Za tymi horami,
Naród, žena, deti.

Kreśląc dodatnie charaktery Słowaczek, nie możemy powiedzieć, aby wśród nich nie było bezdusznych i bezmyślnych istot. Niejednej mowa Pötefego miłszą jest od rodzinnej. Posterunków straconych dużo. Mimo tego, jedność serca i myśli, jaka zawiązała się wśród kobiet zamieszkałych nad brzegami Wagu i Nitry, dobre na przyszłość wróży owoce. Obecne dążenia Słowaczek ujawniają się również w postaciach, kreslonych przez dzisiejszych powieściopisarzów. Adela, bohaterka z powieści Svetozara Hurbana ²⁾ „Sucha latorośl“, jest już kobietą, która wie, dokąd dążyć i czego pragnąć. Na wyżyny, na których postawił ją autor, potęgą swego ducha wprowadza obojętnego na uczucia narodowe Stanisława. Obumierająca latorośl nabiera życia pod technieniem zacnego, kochającego serca kobiety. Dodatnim znów typem kobiety odrodzonej jest Ella, z nowelli tegoż autora „Przelotne cienie“. Podobną postać kreśli drugi utalentowany powieściopisarz, Antoni Bielek. Milka „W zaciszu górskim“ pod wpływem miłości, z obojętnej, zmadyaryzowanej, przekształca się w tklivą, serdecznie do ziemi swej przwiązaną dziewczynę. Zrzuca z siebie fałszywe pióra, w które dotąd stroiła się nieświadoma pięknych i szlachetnych uczuć. Na półkach biblioteczek, zamiast dzieł obcych, składa Botta i Sładkowicza pieśni. Twórca tej przemiany, z rozrzewnieniem patrząc na Milkę, powtarza sobie w duchu: „Wratim narodu jedynobytost, której padne hlavna uloha v krouhu rodinnom“. I w tem właśnie kole rodzinnem obraca się głównie działalność słowackich kobiet. W gronie piszących spotykamy nazwiska Olgi Braxatoris ³⁾, Zuzanny Burowej, Miłoslawy (pseudonym), Anieli Petianowej, Agnieszki Andreańskiej, Philadelphi Anny, Józefiny Gnothowej i Karoliny Pauliny. Są to talenta skromnych rozmiańców, lecz pełne szlachetnych uczuć i dążności. Utwory poetyczne podobnie, jak i z tematów ludowych opowiadania, drukują one w „Slovenskich Pohledach“, „Narodnich nowinach“, „Almana-

chu“, „Ziwienie“ i w innych, okolicznościowych wydawnictwach.

Zmarła Zuzanna Łojkowa, żona poety Łojko-Tisowskiego, pisała drobne poezye i obrazki prozą. Łojkowa była także współpracowniczką wychodzących pism dla dzieci i młodzieży. Do grona starszych i pierwszych literatek, których prace ogrzewały słoneczne blaski czterdziestego ósmego roku, należy Anna Zuzanna Szoltesowa, żona pastora w Liptowie. Utwory jej poetyczne, z talentem pisane, drukowały swego czasu pierwsze edycje Hurbanowej „Nitry“. W religijnym duchu poezją pisała córki ewangelickiego pastora Marya i Krystyna Bogówny. Pod pseudonymem Miłoslawy Ruslanskiej, w „Nowinach“ z 1871 i 1872 roku, pomieszczała artykuły o wychowaniu kobiet, córka pastora Mostenaua. W tymczasem czasie Struharowa Antonina zasilała znów swemi powiastkami i opowiadaniem „Slovenske“ i „katolickie“ „Nowiny“.

Musimy także wspomnieć o Maryi Bobulowej, żonie S. N. Bobuli, b. redaktora „Slovenskich Nowin“ i niestety! byłego autora słowackiego. Od kilku lat, mieszkając w Peszcie, zerwał on wiążące go dotychczas z pismami słowackimi stosunki.

Bobulowa, podobnie jak jej mąż, nie bierze już żadnego udziału w społecznej i literackiej pracy. Niegdyś tłómaczyła z niemieckiego oraz oryginalne prace pomieszczała w „Slovenskich Nowinach“. Holubowa Marya, pisząca pod pseudonymem Maryi Jaworyńskiej, czasami Maryny, jest zdolną bardzo autorką. Poezje jej odznaczają się głębokością i świeżością uczucia. Piszę ona także opowiadania i społecznej treści artykuły; jeden z nich „Rodzina“, drukowany w „Slovenskich Pohledach“ za rok 1882 (patrz str. 344) może być katechizmem dla słowackich kobiet. Do grona bardziej twórczych pisarek należy Teresa Wansowa, autorka licznych powieści, humoresek i obrazków na tle życia słowackiego ludu skreślonych. W nowellistyce palmę jednak pierwszeństwa trzyma Helena Szoltesowa.

(Dokończenie nastąpi).

KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

(Dalszy ciąg).

Niewola przedłużała się całe lata.

Malutka Izabella, ukochanie rodziców, w niewoli zrodzona, w niewoli zgasła. Niewygody i troski biednej matki zatruwały jej pokarm i przyspieszyły zgon dzieciny.

Na grypscholmskiej skale pogrzebano wnuczę Zygmunta Starego. Jedyńemu-to dziecięciu Katarzyny Jagiellonki usypano mogiłę w szwedzkiej, tak niegościnnie dla niej, ziemi; inne jej dzieci, wnuki i prawnuki w łonie jej ojczystej, polskiej gleby, której ona sama już nigdy ujrzeć nie miała, grób dla siebie znalazły...

Śmierć półtorarocznej Izabelli wytworzyła z więzienia większe jeszcze pustkowia. Dla nieszczęśliwych więźniów gasły ostatnie promienie nadziei; niewola przedłużała się do nieskończoności; na zmianę usposobień Eryka, która jedyną być mogła deską ratunku — niepodobna było rachować. Usposobienia te zmieniały się. Jeżeli w życiu więźniów zachodziły zmiany, to blahe, maluczkie.

Obszerniejsze im nieco wyznaczono izby na mieszkanie, ale wygod życia nie przysporzono, i kordon straży podawnemu ściśle strzegł wszelkiego stosunku więźniów z zewnętrznym światem.

Po zgonie malutkiej córki powiła Katarzyna w więzieniu (20 Czerwca, 1566 r.) syna, którego nazwano Zygmuntem. Imię to przypominało biednej matce jej najbliższych — ojca i brata. Przyjście na świat syna ostatnią było pociechą więźniów, gdyż wtedy właśnie nieszczęścia z całą grozą rozszalały się: złało się, iż jeszcze dni niewiele, a w otchłani klęsk utonie ich istnienie. Wówczas-to ksiązę Jan pisał do brata, żądając sądu. Sąd umyślnie był posłany z osób z niekompetentnych do sądzenia spraw tego rodzaju; Jan nie uznał kompetencji sądu, a sama akcyja zwoływania sądu i stawiania przed nim połączoną była z przykrościami niezmiernymi. Księcia Jana spotykały obelgi, urągania; wreszcie, gdy nie uznał kompetencji sądu, w sroższym więzieniu osadzono go, a nieszczęsna Katarzyna rozchorowała się pod naciskiem tych ciosów, do których przyłączyły się nowe obawy, by jej niewydano w ręce księcia ościennego, sąsiedniego państwa, o czem wyżej mówiliśmy. Nalegania owego księcia wzmagały się: stał on do Eryka wciąż posłów, dary i namowy, obiecywał niemało korzyści politycznych ¹⁵⁾. Polityki nacisk był silny, Eryk mógł łatwo uleść, do uszu więźniów wieść ta dobiegała, ztąd nowe i ciężkie obawy, ztąd pogorszenie choroby Katarzyny. Nie przyszło wszakże do wydania w ręce obcych posłów Księżny Finlandzkiej i rok 1567, wprawdzie dopiero ku końcowi, stał się ostatnim rokiem jej niewoli.

Do końca mężnie wytrwała księżna przy boku męża w więzieniu; do końca smutnych lat niewoli była osłodą i pociechą męża, dzieląc z nim obawy i groźne niebezpieczeństwa, czynem świadcząc, iż nienapróżno mówiła o stałej swej woli wytrwania przy boku mężowskim...

Polepszenie losu nastąpiło nagle. Eryk nie był miany za szaleńca wówczas, gdy występował nieprzyjaźnie wobec brata, ale z czasem, kiedy zakres jego okrucieństw rozszerzył się, kiedy umyślił zamordować brata i wysłał w tym celu zbirów do Gripsholmu, którzy jednak w ostatniej chwili odmówili posłuszeństwa, gdyż nie ośmielili się targnąć na życie księcia Jana i jego rodziny, kieby wreszcie zaczęły spadać głowy przedniejszych Szwedów i sam Eryk własną dłonią zaczął mordować: uznano go za szaleńca i w każdym jego kroku widziano objaw zbrodni — umysłowych. Jako chorey, uznany został za niepożytecznego, a następstwem tego stała się abdykacyja. Role zmieniły się szybko. Jan z więzienia staje się królem, Eryk zaś z tronu zstępuje do więzienia.

Zmiana stanowisk, odwrócenie się koła fortuny, które podniosło więźniów z otchłani nieszczęść do szczytu znaczenia, przepelnione były mnóstwem wstrząśnień, tak, iż zaiste z trudnością zdajemy sobie sprawę, jak zdrowie Katarzyny mogło przetrwać taką nawał wrażeń, często zbyt bolesnych a nagłych.

Przeżyła ona to wszystko szczęśliwie, lecz wrażenia ostatnich miesięcy niewoli, dorzucające nowe cierpienia do trosk i niebezpieczeństw doznanych, w ciągu czteroletniej prawie niewoli, zostały nazawsze ślady w kamiennym napózór organizmie Katarzyny. Rozwinięły się chorobliwe objawy długie, nieuleczalne. Lata całe miały upływać wśród tych nowych fizycznych cierpień, chociaż inne warunki składały się dla niej dość pomyślnie w dalszej dobie życia.

Zanim dni uwolnienia nadeszły, Eryk wysłał oprawców do więzienia brata z rozkazem zabicia zarówno księcia Jana, jak i nieletniego jego „synaczka“, kilkumiesięcznego wówczas Zygmunta. Oddział zbirów wypowiedział — jak rzekliśmy — posłuszeństwo; „jakaś osobliwa Boska sprawa i natchnieniem wrócili się we dwu mil od owego zamku nazad“ — pisze o tym wypadku Anna Jagiellonka do swej przyrodniej siostry Jadwigi ks. Brandenburskiej. „A gdzieby było ksiązę Jego M. zabito — dodaje ks. Anna — czego Pan Bóg ucho-

2) Wajański.

3) Córka słynnego poety Sładkowicza.

15) Porów. Karamzina T. X.

wał, tedy zatem miał księżnę Jej M., siostrę naszą najmilszą, posłać... niezbożnemu okrutnikowi, z pewnej już zmywy przedtem z sobą uczynionej" 16).

W tymczasem dniu św. Franciszka (4 Października 1567 r.), który przed pięciu laty był dniem jej ślubu, Katarzyna opuściła z mężem więzienie i wnet wysłała do Polski jednego ze swych dworzaków z listem do siostry, Anny Jag., i do brata, Zygmunta Aug., a ci z kolei zawiadomili, również przez umyślnego gońca, obie siostry, Zofię i Jadwigę. Królowa Anna radosną tę wieść wzięła mocno do serca. Listy jej ówczesne do sióstr przepełnione są objawami bezbrzeżnej radości. Goniec, który tę wieść przyniósł, dostaje od Anny łańcuch złoty, jaki ona w owej chwili miała na sobie; wszyscy bliżsi i mili jej sercu, otrzymują własnoręczne zawiadomienia królowy o szczegółach uwolnienia Katarzyny, o ostatnich miesiącach gripsholmskiej niewoli, przepełnionych tyłu okropnymi wrażeniami.

Oprócz listów Katarzyny Jagiellonki, szły ze Szwecji do Polski i inne listy, mówiące o szczegółach ostatnich miesięcy niewoli, o szaleństwie Eryka; szły listy powtarzające legendy, które ubarwiała fantazyja ludowa wypadki ówczesne, towarzyszące abdykacyi Eryka i wstąpieniu na tron księcia Jana, którego pospolicie polskie relacje nazywają „Księciem Wilandzkim“ (Finlandzkim). Do ciekawszych relacji zalicza się list Doroty Ostolskiej, karlicy, która dzieliła z Katarzyną Jagiel. jej więzienie, wiernością a nadzwyczajną czujnością odznaczała się i udzielała wiadomości piśmiennych, zarówno królowie Annie, jak i Zofii, ks. Brunświckiej. Świadectwo to naocznego świadka, acz niekiedy zabarwiał się przesadami wieku, lub przywidzeniami otoczenia, nosi na sobie znamiona prawdy i jest jednym z tych wyłomów w murze przeszłości, przez który rozglądać się możemy wśród całego obszaru spraw ówczesnych. I w owym świadectwie uwydatnia się, cała głębia niebezpieczeństw, klęsk nawiedzających Katarzynę Jagiellonkę a zarazem niezrównany hart jej ducha i wierne spełnianie obowiązków strażniczki ogniska domowego.

Rok 1569 ustalił tron ks. Jana. W owym roku, d. 20 Czerwca, był on w Upsali wraz z małżonką, koronowany, jako król szwedzki, Jan III. Korona, którą uwieńczono Katarzynę, miała zatrzeć w jej pamięci cztery lata niewoli i niedoli. U stopni tronu szwedzkiego widziano wtedy dwoje pacholąt: Zygmunt liczył trzy lata, a obok niego malutka zaledwie dwuletnia jego siostra, Anna, która na świat przyszła wnet po wyjściu z więzienia Katarzyny.

Od owych chwil koronacyjnych w Upsali, i wogóle od chwili objęcia rządów Szwecji przez jej małżonkę, roztacza się przed Katarzyną Jagiellonką nowe pole czynu, a temsamem nowa doba w zakresie działalności tej niepospolitej niewiasty. Na tronie jest ona niemniej pomocną mężowi, jak była za dni niewoli. W tej jednak dobie działalność jej ma szerszy zakres; sprawy krajowe stają się przedmiotem niejednej troski. Kołaczę do brata w każdej potrzebie swej nowej, szwedzkiej ojczyzny. Każda troska męża ma w niej rzecznika gorliwego i umiejętnego. Większe i mniejsze sprawy szwedzkie obronę w niej znajdują, zaistego, chętnego. Czy chodzi o pojedynczych kupców, czy też wogóle o swobodę handlu na Bałtyku, niekiedy zagrożoną przez Gdańszczan, czy wreszcie występuje na widownią polityki kwestya pokoju lub wojny z Danią, bądź z innym sąsiadem, czy pożyczka, której wciąż wtedy potrzebowano, — nikt inny, jeno królowa Katarzyna pośredniczy w rokowaniach z Polską. Negocjuje bezpośrednio z Zygmuntem Augustem, szuka jego pomocy, prosi, nagli i pospolicie zwycięsko z tych rokowań wychodzi. Zygmunt wszakże niezawsze mocen uczynić wszystko wedle życzeń królowej, krępuje go bowiem, nie tylko interes wła-

ny, ale wola sejmu; w takich razach często król się przed siostrą tłómaczy, i wreszcie rzecz załatwia się ku wspólnemu zadowoleniu.

(Dokończenie nastąpi).

BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Ożenić się? — powtórzył bezmyślnie Rafał, a tym razem twarz jego pokrył rumieniec.

— To, to, to, to — zawołał Józio — tylko tutaj znów są pewne warunki: przedewszystkiem bogata panna, potem przyjęcie z jej strony twoich starań, potem wreszcie małżeństwo i wypłata gotówki. Widzisz, niekażda bogata panna na te warunki się zgodzi, a nawet powiem ci więcej: niema takich naiwnych już dzisiaj.

Ta ostatnia uwaga tak podrażniła Rafała, że z pewną irytacją zawołał:

— Ach, Józefie, widzę, że nadto wytrzeźwiałeś.

— Z tego, coś mi powiedział — wnosić-by należało, że właśnie trafiam w twoje dzisiejsze poglądy. O, ale ja się tu z tobą zagadałem zadługo!.. Czekaają na mnie interessa. Już piąta, — dodał Józio, spoglądając na zegarek — Odwiedzę cię w hotelu; wszak stoisz...

— Pod Złotym Aniołem.

— Doskonale! Niezawodnie odwiedzę; a teraz bądź zdrów, kochany przyjacielu; do widzenia.

To powiedziawszy, silnie ścisnął za rękę Rafała i wybiegł na ulicę.

Rafał rachunek zapłacił i krokiem mierzonym puścił się na wędrowkę bez celu po mieście.

— Ożenić się, myślał znów, tak to jedyny środek w mem położeniu... Powiedzą, że się sprędał...

Ba, czegoż, nie mówią? Czy warto zwracać na to uwagę? — Jeżeli się ożenię z posagiem, Zieloną podniosę, dam popęd pracy w kraju, zdobędę to, czego szukam; gdy przeciwnie, pozostawiając rzeczy tak jak są, za rok, dwa, trzy najdalej, z torbami pójdę — ja, i matka, i siostry.

Tak rozumując, błąkał się po mieście do późnej nocy. Gdy wchodził w bramę hotelu na spoczynek, był już zupełnie trzeźwym, a gdy zasnął, nie śniło mu się już nic, nie marzył o niczem.

W domu hofrata, który obecnie nosił już tytuł barona, panowało zamieszanie największe.

Liza po powrocie z wizyty od Jądzi dziwnie było rozdrażniona. Nie przywitała się nawet z ojcem, nagniewała się na służącą, stłukła parę szklanek, — jednym słowem: dawała dotykalnie uczuć wszystkim w domu, że jest w złym humorze.

— Cóż to, Lizo? — spytał ojciec, — miałaś jaką przykrość?

— Alboż ja mam kiedy jakie przyjemności?

— To już twoja wina, moje dziecko; pracowałem na to całe życie, abyś sobie nigdy niczego odmawiać nie potrzebowała.

— Ojciec zapomina, że są przyjemności, których pieniędzmi opłacić nie można.

— Tak? — zawołał zdumiony hofrat i oczy szeroko rozszerzył — jemu to się w głowie pomieścić nie mogło, aby w istocie tak na świecie było. — Moja Lizo — mówił — w tym kraju już panuje taka epidemia, że ludzie chcą tego, czego dostać nie można. Zdawało mi się, że ty do nich nie jesteś podobna. Za pieniądze dostać można wszystkiego. Masz je. Chcesz brylantów: kupuj brylanty; chcesz sukni: kupuj suknie.

— A niechże mi ojciec raz da pokój, ze swemi sukniami i brylantami! Co mi po nich? Mam ich

już po uszy. Siedzę tutaj, jak na pustyni, starzeję się i starą panną zostanę. A ja chcę wyjść za mąż, chcę, czy rozumiesz, ojcze?

Zyczenie Lizy, tak wyraźnie objawione ojcu, było dla niego zupełną nowością. On o tem jeszcze nigdy nie myślał, rzecz jednak była warta zastanowienia. Ponieważ zaś kolacją już na stół podano, przeto rozważył, że lepiej będzie rozbiór tej kwestyi odłożyć do kolacyjnej gawędki, co postanowiwszy, zasiadł do stołu. Liza jednakże nie pozwoliła ojcu spokojnie przełknąć darów bożych i podchodząc ku niemu rzekła:

— Mój ojcze, chciałam cię poprosić o chwilkę poważnej rozmowy.

— Dziecko moje, wszak wiesz, że zawsze jestem na twoje usługi. Mów, słucham.

— Powiedz mi też, ojcze, — mówiła teraz już łagodniej, — o jakiej ty dla mnie myślałeś przyszłości?

— Jak to, o jakiej? Ależ o najświetniejszej, dziecko!

— To co mi mówisz, rzeczy nie objaśnia. Uczyłeś mnie zawsze, że człowiek powinien być świadomym swojego celu, powinien jasno patrzeć na świat, liczyć się z okolicznościami, przewidywać przypadki, — no, i tak dalej. Otóż ja, nie chcąc zostać starą panną, przewiduję teraz potrzebę wyjścia za mąż.

— W istocie, masz rację, moje dziecko; trzeba pomyśleć o mężu.

— Gdzieżbyś ty jednak chciał wyszukać dla mnie tego męża?

— Ależ, do licha, każdy przecież uważać się będzie za szczęśliwego...

— Każdy!... każdy!... — powtórzyła niecierpliwie Liza mówisz to, czego nie myślisz.

— Ależ jak cię kocham, moje dziecko!..

— O! to chyba mnie nie kochasz, skoro nie widzisz, że jestem tutaj w tym kraju uważana za wyklętą, od której uciekają wszyscy...

— Dlatego myślę z tobą wyjechać do Wiednia.

— I tam wydać mnie za mąż za jakiego geseftsmana lub urzędnika w twoim rodzaju? Przykuć następnie do takiej doli i takiej pracy, w jakiej żyła nieboszczka moja matka. O ja doskonale to pamiętam. To nie jest los najświetniejszy, to dola czarna, jakiej się pożał Boże bydlęciu. Ja chcę być szczęśliwą, słyszysz, ojcze, a jeżeli taką gdzie być można, to tylko tutaj w tym kraju, w którym kobieta oddawiającą przestała być sługą, a jest panią.

— To znaczy, że chcesz zostać żoną Polaka, — zawołał zdumiony hofrat.

— Nieinaczej, mój ojcze.

— Ale zkad ja u licha ci go wezmę, gdy sama zauważyłaś, odwracając się tu od nas wszyscy?

— Mój ojcze, wszak pamiętasz, — przerwała Liza, młodego Rafała Rajewskiego.

— Rajewskiego, tego, coś go — to od Ołomuńca wykreciła.

— Tegosamego. Jakże ci się podoba?

— Waryat.

— Można go i z waryactwa wyleczyć.

— Golec, majątek obdłużony.

— Gdybyśmy długi spłacili, majątek miałby czysty...

— Ale dlaczego o niego właśnie mnie się pytasz?

— Bo chciałabym zostać jego żoną.

— Pan hofrat ze stolka się zerwał i już omalło nie zawołał do córki: „oszalałaś!“, ale Liza spojrziała na ojca tak energicznie, że ten usiadł napowrót na stolku i zamilkł.

— Cóż cię tak, ojcze, w tem moim oświadczeniu dziwi?

— Ależ bo on!

— Co?... szlachcic?... Tyś przecie już baronem.

— Polak...

— Uczynię z niego takiego człowieka, jak mi się podoba, to już moja rzecz. Chciałam ci dla tego to wszystko, mój ojcze, powiedzieć, żebyś wiedział jak się względem niego zachować, kiedy tutaj przyjdzie.

— Ale czy też ty wiesz, jakie oni względem nas mają tutaj przesady?

— Czyż ja wiem?! alboż ich skutków nie doświadczyłam? Poradzę sobie jednak i z nimi. Gdy zostanę jego żoną i będę miała pieniądze, wejdę

przecież w jakiś świat lepszy i ludzie zapomną, co ty nabroił. Pomagaj mi więc tylko teraz, o ile możesz, do wykonania tego przedsięwzięcia.

— Z całej duszy, zawołał hofrat, uradowany tem, iż tak łatwo udało mu się zaspokoić żądanie córki.

Nazajutrz Rafał, spełniając swoje przyrzeczenie, o trzeciej zjawił się w salonach pana barona. Hofrat przyjął go w przedpokoju i sam drzwi otworzył, a prowadząc do salonu miał czas przyrzec się gościowi doskonale i szepnąć do siebie:

— Liza ma dobry gust; ładny chłopiec.

— Potem, gdy już usadowił w wygodnym fotelu Rafała i gdy się z nim przywitała Liza, zawołał.

— Ja odnawiam tylko z panem znajomość.

— Przyszedłem właśnie podziękować panu, panie baronie, i pani, panno Lizo, za to, żeście w swoim czasie chcieli ratować nieszczęśliwego.

— Oh! głupstwo,—zawołał hofrat.

— Jesteśmy za to już wynagrodzeni bytnością pańską w naszym domu, w przeklętym domu, jak nazywają tutaj to mieszkanie,—dodała Liza.

Wdzięczność i pamięć są uczuciami najmniej może praktykowanymi przez ludzi.

— Nie, pani—zawołał Rafał—tylko może nie zawsze ci, co doznali łaski, mogą okazać swą wdzięczność.

— Bo niezawsze chcą. Ale nie mówmy o tem. Spodziewałam się pana dzisiaj i wizyta jego sprawia mi prawdziwą przyjemność. Wyświadczysz panu pewną przysługę, nie dziwnego, że mam do pana pewne przywiązanie, tak, jak inni mają, naprzykład, do rzeczy, które zdarzy się im ocalić od zniszczenia. To ludzkie, i pan mi tego za złe nie weźmiesz. Chciałabym też wiedzieć, co się działo z panem od chwili, jak opuściłeś Tarnów?

— Pojechałem uczyć się rozumu za granicę. Powróciłem ztamtąd do domu i znalazłem wszystko w najwyższym oplakany stanie, a teraz na wszystkie strony ratunkom szukam i zdaje się, że go nie znajduję—z westchnieniem zakończył Rafał. — U nas tak trudno o poparcie dobrych planów; dla tego też własność ziemską upada.

— Mnie się zdaje,—odparł hofrat,— że są jeszcze i inne przyczyny upadku większej własności. Panowie obywatela do chwili obecnej zamknęli się w ścisłym kręgu produkcji rolnej gdy tymczasem na polu produkcji przemysłowej i handlu ugor zupełnie zostawili.

Była to przegrywka dobrze pasująca do nowych poglądów Rafała.

— O! tak,—pochwycił Rajewski.—bardzo słuszną jest uwaga pańska: trzeba koniecznie rozwinąć pracę u nas na wszystkich polach. My tego jednak dokonać nie jesteśmy zdolni.

— A to dla czego?

— Bo brak nam gotówki.

W tej chwili Liza mrugnęła znacząco na ojca. Hofrat widocznie mrugnienie zrozumiał, bo odpowiedział nań potakującym kiwnięciem głowy i ciągnął dalej rzecz swoje:

— Proszę pana, gotówka znaleźć się może bardzo łatwo; ja sam każdej chwili mogę nią służyć panu, jeżeli, naturalnie, zechcesz użyć jej na rozwinięcie swoich planów, o których mi wspominałeś. Tylko, widzisz pan, my, Niemcy jesteśmy ludźmi praktycznymi: wkładając swoje kapitały, chcielibyśmy wiedzieć, na jakiej to czynimy podstawie. Oile mi się zdaje, pan masz dopiero ogólną ideę; trzeba zatem pomyśleć o planie szczegółowym, obejrzyć majątek i zorientować się, co w nim i co z niego zrobić można...

Ratunek, którego szukał Rafał, przychodził do niego sam, tak nagle i niespodziewanie i z taką łatwością, iż nie wiedział, azali temu, co go spotkało, ma wierzyć.

Słowa jednak hofrata były tak wyraźne, a uśmiech na twarzy Lizy tak zachęcający, że Rafał zaczynał pojmować, iż wszystko, co słyszał, jest nową przysługą, wyświadczoną mu przez wszechmocną jedynaczkę.

— Panie baronie,—zawołał w odpowiedzi,—myślałem ja o tem bardzo wiele, plany szerokie mam, mapę Zielonej przywiozłem, i byle mi się

udało zyskać pomoc kapitału, nietylko podniosę kulturę majątku do nieznanych u nas rozmiarów, nietylko długi, ciężące na nim spłace, ale dam przykład swoim współobywatelom, stwarzając u siebie ognisko pracy organicznej, które da tysiącom rąk pracę i zarobek.

— O, wiem, że to rzecz nie trudna. Sprawdzimy zresztą z Wiednia specjalistów. Oni rzecz rozpatrzą, szczegółowe plany wypracują; wystarczy, gdy pan będziesz wykonawcą. Zajdź pan jutro do nas na obiad, przynieś ze sobą mapę majątku i wykaz długów; będzie tu ktoś, co na tych rzeczach zna się doskonale. Naturalnie, nie załatwi się to od jednego pociągnięcia pióra. Musimy wiele, bardzo wiele o tem mówić i myśleć, zachódź więc pan do nas jaknajczęściej.

Jak na pierwszą wizytę, to, widzimy, że Rafałowi udało się zrobić bardzo wiele; czuł, że szczęście samo idzie mu do ręki. Chociaż więc radby był w jednej chwili pobiedz do hotelu i żadaną mapę oraz wykaz długów baronowi przedstawić, bał się jednak, aby to szczęście nie wymknęło mu się z ręki i wyzyskiwać je powoli postanowił. Wstał więc i, zapewniając, że nazajutrz z zaproszenia nie omieszka skorzystać, mieszkanie hofrata opuścił.

W najlepszym humorze tedy wracał do hotelu i wchodził w bramę, gdy ujrzał, jak przed nim osadzał konia wysłany parobek z Zielonej.

— A co tam — zapytał, — czy stało się co nadzwyczajnego, że cię przysłano?

— A juści—była odpowiedź, — rządcą się powiesili.

— Kto, Badyłski? — przerażony spytał Rafał.

— A juści; tu jest pismo od starszej pani.

Parobek wręczył Rafałowi list. Matka donosiła synowi o zaszłym fakcie krótko i sucho:

„Uspokoić się nie mogę, pisała. — Najwierniejszy, najuczciwszy ze sług moich w taki tragiczny zginął sposób. Uważano, synu mój, że od czasu twój powrotu stracił humor, a teraz odebrał sobie życie natychmiast po pożegnaniu się z tobą, gdyś wyjeżdżał. Nie przypuszczam ani na chwilę, byś mej prośby nie usłuchał i uczynił mi jakąkolwiek wymówkę za złe prowadzenie gospodarstwa. W każdym razie uspokoić się nie mogę, bo, bądź co-bądź, przyczynę śmierci tego człowieka widzę w ostatnich niepowodzeniach naszych“.

List ten i ta wiadomość popsuły nieco dobry humor Rafałowi. Przypomnił sobie teraz całą rozmowę z Badyłskim, a sumienie szeptało mu, że ona właśnie była przyczyną śmierci tego biedaka.

— To pierwsza ofiara nowych twoich kierunków,—szeptało mu coś do ucha.

Nie wynaturzył się jeszcze dotąd tak, aby mógł obojętnie znosić podobne wypadki.

Matce jednak nie odpisał; polecił tylko gońcowi, który mu tę smutną wieść przyniósł, aby wracał do domu i powiedział pani, że niebawem on sam przybędzie.

Przecież nie mógł wyjeżdżać teraz, natychmiast, gdy tak świetnie zapowiadały się jego interessa i to z powodu śmierci jakiegoś tam officialisty.

Obiad u pana hofrata nazajutrz prawdziwie był wspaniały, bo gotował go prawie najlepszy kucharz w mieście. Liza była w złotym humorze, pan hofrat również.

Rafał był punktualnym; stawił się o czwartej i zastał w mieszkaniu swego nowego dobroczyńcy pana Fryderyka v. Szultze, arcy-sprytnego przemysłowca, który się na wszystkim znał i był prawą ręką pana barona. Ponieważ Liza kręciła się jeszcze w kuchni, przeto baron i jego przyjaciel od razu z Rafałem przystąpili do interessu.

Rafał rozwinął przed nimi mapę Zielonej z przyległościami oraz ekstrakt tabularny, w którym mieściła się cała lista długów na tych do-
brach ciężących.

Szczególniej nad tym ostatnim Szultze ogromnie kręcił głową i nosem; kredkę wziął do ręki, coś długo pisał, rachował, kreślił, aż w końcu nadał usta, dmuchnął niemi gwałtownie i przez zęby mruknął:

— *Sehr schlecht, sehr schlecht*, no ale z tego wyleźć można. W majątku jezioro jest; zbuduje się tamę i postawi tartak. Z bukowego lasku

który jest młody, przez dziesięć lat przynajmniej, starczy drzewa na wyrób mebli giętych, wreszcie ziemia, przy dobrej sterkoryzacji pod uprawę buraków obrócona, da nam możność założenia cukrowni.

Rafałowi na ten, tak krótko i jasno wyłożony, plan, zaświeciły się oczy, a serce uderzyło gwałtowniej; baron jednak na te śmiało rzucone, i tak świetną przyszłość rokujące plany, szeroko usta roztworzył.

— Dobry jest sobie,—myślał,—ten Szultze, jemu się zdaje, że ja mam miliony.

Szultze wziął się znow do rachunków.

— *Ja, wirklich*, tak trzeba zrobić, tak... tartak, cukrownia i fabryka giętych mebli.

— Ale na to trzeba milionów — wtrącił nieśmiało hofrat.

— Głupstwo,—zawołał Szultze—założymy towarzystwo akcyjne i wszystko pójdzie jak z płatka.

— Geniusz,—szepnął zdumiony Rafał.

— Uczynimy to wtedy—ciągnął dalej Szultze—gdy sami własnym kosztem założymy jedną fabrykę, na co wystarczy od sto pięćdziesięciu do dwustu tysięcy guldenów; tę sumę musisz mieć pan koniecznie.

Milczenie ogólne było odpowiedzią na to pytanie. Przerwała je Liza, podchodząc ku Rafałowi i, wsuwając mu pod ramię rękę.

— Już obiad,—zatem interessa na bok.

I poprowadziła go do stołowego pokoju, gdzie czekała już rozlana zupa.

Hofrat z panem Szultzem pociągnęli w drugą parę, szepcząc coś ze sobą.

Przy obiedzie Liza ani na chwilę nie pozwoliła wtrącić się nikomu do rozmowy, jaką prowadziła z Rafałem. Gdy obiad się skończył, znow ujęła go pod rękę, i zostawiając ojca z jego doradcą w pokoju jadalnym, pociągnęła gościa, już nie do salonu, ale do własnego budoaru.

— Siadaj pan tu, przy mnie,—rzekła, wskazując Rafałowi miejsce na eleganckiej kozetce.

Usiadł, a w duchu postanowił sobie być najprzyjemniejszym, aby pozyskać względy tej istoty, w której rękach znajdowały się przyszłe losy Zielonej i jego własne.

— Cóż pan powiesz na projekty Szultza? — zatała nagle.

— Genialne, ale wynalezienie summy, jakiej odemnie żąda, jest niepodobieństwem.

— Mylisz się pan, tylko, taka operacja finansowa nie może się obejść bez ryzyka tego, który taką sumę wielką pożyczyci i tego, który ją bierze. Kto nie ryzykuje jednak, nie ma.

— Ale któż na mnie chce zaryzykować? — zawołał Rafał, usłyszawszy to.. Liza wstała z kanapki, parę razy przeszła się po pokoju, jakby rozmyślając nad tem, co ma powiedzieć, zatrzymała się nagle przed nim i spytała:

— Czy masz pan, prócz pożyczki i ulepszeń w gospodarstwie, inne jakie sposoby ocalenia majątku?

— Sprzedawszy Zieloną dzisiaj, niezawodnie mielibyśmy jeszcze tyle, żebyśmy spokojnie żyć mogli. Ale coż to za życie!

— Nie umiałbyś go pan sobie uprzyjemnić?

— Bez urzeczywistnienia wielkich planów stanowczo nie umiałbym. W podniesieniu mojego gospodarstwa, w nowych kierunkach pracy widzę przede wszystkim pożytek ogólny. Najwyższą moją ambicją jest wytworzenie właśnie tych kierunków, sprowadzających rozwój ekonomiczny kraju, i dlatego ryzykuję tę marną resztkę, aby zyskać wszystko. Niema poświęcenia, przed którym-bym się cofnął, dla dojścia do tego wspaniałego celu.

— Gotówes pan poświęcić wszystko; wszak tak?

— Tak, pani.

— „Wszystko“ — to wielkie słowo.

— Nie cofnę go nigdy.

— A gdyby panu powiedziała kobieta obojętna, córka człowieka powszechnie nienawidzonego: „Panie, odczuwam twoje ideje, rozumiem je, posiadam majątek, który może zapewnić im zwycięstwo, podzielę z tobą życie całe, stanę się dla ciebie źródłem przyszłego szczęścia, a wzamian za to żądam twojego nazwiska“—cobyś jej na to powiedział?...
dział?...

Rafał zbladł. Liza jego zakłopotanie spostrzegła i zrozumiała, że ten, którego postanowiła uszczęśliwić, w tej chwili jeszcze do odpowiedzi stanowczej przygotowany nie był. Dodała więc szybko:

— Przedewszystkiem radabym wiedzieć, czybyś pan uwierzył słowom tej kobiety?

— Dla czegoż-by nie? — odparł dosyć chłodno Rafał.

— To już dobrze. Zastanów się pan nad tem, oblicz swoje siły i daj mi odpowiedź za dni parę.

Z tej przykrej dla Rafała rozmowy i sytuacji wybawiło go zjawienie się Szultzego i hofrata w budoarze Lizy.

Przyjaciel Brekmana lubiał widocznie interesa odrazu załatwiać, przedstawił więc Rajewskiemu natychmiast swoje żądania: domagał się on najpierw ogólnej plenipotencji do działania w jego imieniu; miał już gotową punktacją umowy, w której zastrzegł sobie olbrzymie premia od zysków i decydujący głos we wszystkich interessach. Do tego wszystkiego pan hofrat dodał swoje oświadczenie, iż potrzebnego do zaczenia kapitału użyczy, skoro tylko ułożą się pewne okoliczności, których wyraźnie nie wymieniał, ale o których już dokładnie był poinformowany Szultze przez Lizę.

*

*

*

Pomimo tak przyjaznego dla Rafała obrotu rzeczy, opuszczał on dom hofrata z pewnym niesmakiem. Niepokój go jakiś ogarnął, kiedy, wróciwszy do hotelu, w drogę wybierać się zaczął; miał już teraz jednak na wszystko argumenta i usprawiedliwienie, a kiedy na bryczkę siadał, zawołał słowami Cezara, przekraczającego Rubikon: Kości rzucone.

Pod wieczór był w Zielonej. Trup Badylskiego spoczywał już na mogiłkach. Nie było nawet o nim mowy.

— Co przywozisz? — pytała matka.

— Zbawienie! — zawołał gorączkowo Rafał.

— Jaka szkoda, że takimi samymi wieściami nie mogę ciebie przywitać! Co uczyniłeś z Marychną? — Mówiono mi, żeś ją zabrał do miasta.

— Umieściłem w szpitalu obłąkanych i płacić będę za nią, dopóki nie zostanie wyleczoną lub dopóki nie umrze.

— Pamiętaj jednak, żeby ludzie nie uczynili cię odpowiedzialnym za jej dolę, tak jak czynią za śmierć Badylskiego.

— A!.. ludzie!.. ludzie! Cóż mnie oni obchodzić mogą? Dla czegoż to ja mam być winny śmierci Badylskiego? Cóż to!.. ja kazałem mu się wieszać? To doskonale! Zawsze ten przekłety sentymentalizm, który u nas ludziom o wielkich planach nogi podcina! zawsze te nieszczęsne drobiazgi!

Życie ludzkie nie jest drobiazgiem, — za protestowała matka.

— Wobec idei jest niczem. Aby osiągnąć wielkie cele, trzeba się wyrzec wszystkiego, samego siebie nawet, nie liczyć się z opinią głupiego tłumu.

W tych kilku słowach tak się uwydatniło rozdrażnienie Rafała, że pani Rajewska obrażona ich znaczeniem i tonem, uznała za właściwe wstać, przerwać rozmowę i skierować swoje kroki do własnego pokoju.

— Matko! — spostrzegłszy to, zawołał Rafał.

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Pragnąłbym się z tobą rozmówić o interessach, o rzeczach niezmiernie wagi.

— Jesteś rozdrażniony; może innym razem.

— Nie, nie, mam, cały wrę, burzę się, kipię. Muszę ci powiedzieć wszystko jaknajprędzej. Przekonaś się, że mam słusność...

— Mów zatem, — zawołała spokojnie matka, powracając na poprzednio zajmowane miejsce.

Ta gotowość matki do słuchania wynurzeń syna oniemiała go narazie. Minęła długa chwila, zanim, patrząc w ziemię, wykrztusił:

— Matko, potrzebuję się ożenić.

— Szczęśliwą będę, gdy do Zielonej przywiesz mi synową.

— Bogato się ożenić, — dodał szybko Rafał.

— Rafale, z twoichże-to ust wybiegają takie słowa? — zawołała pani Rajewska, — tyż-to sprze-

dać się chcesz za przeszłość niezależną i byt wygodny! — Nie, nie, ty tego nie uczynisz. Wiem, że zrodziło się to postanowienie twoje: ze szlachetnych pobudek poświęcenia się dla mnie, dla sióstr. Ale wierz mi: my umiemy się ograniczać w wydatkach, zastosujemy się do tego, co jest. Nasze pragnienia nie wielkie i dla nich nie pozwolimy ci się sprzedać, zabraniamy ci tak się poświęcać.

— Nie szukaj żony bogatej tylko...

— Znów sentymanta. A ja, mam, chcę kierować się rozumem tylko. Uczuciom dawno dałem już dymissyą.

— Zatem czyni, co uważasz za stosowne.

— Potrzebną mi jest przytem plenipotencya mamy do działania w interessach.

— Kiedyż mam ją podpisać?

Rafał, widząc z nieograniczonej ufności matki, iż wszystko, co tylko zamierza, do skutku doprowadzi, przestał się spowiadać. Nie miał przytem odwagi powiedzieć jej o projektach spółki z Niemcami, o pożyczce od hofrata i o małżeństwie z Lizą.

Był sam zły na siebie, a mimo to wyznanie przez usta mu przejść nie mogło.

W nocy spać nie mógł; sny dziwne go dręczyły.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Aparat fotograficzny Enjalbert'a. — Czarne wody. — Piasek grający. — Korzyści naukowe z wieży Eiffla.

P. Enjalbert wynalazł świeżo przyrząd do automatycznego fotografowania, który w niedługim już czasie znajdzie się na wystawie powszechnej w Paryżu. Znanie są już wagi automatyczne, jako też przyrządy wyrzucające cukierki i czekoladki. Dosyć jest wrzucić pewną oznaczoną monetę w otwór przyrządu, aby strzałka pokazała wagę, a z drugiego znowu wypadła tabliczka czekolady. Otóż nowo-wynaleziony przyrząd p. Enjalbert'a zbudowany jest w sposób bardziej skombinowany, gdyż za wrzuceniem monety wyrzuca fotografią osoby, która stała przed otworem.

Przyrząd ten z wyglądu podobny jest do wielkiego zegara pokojowego, dawnego autoramentu, na wprost którego stoi fotel. Na wysokości głowy osoby siedzącej w przedniej ścianie pudła przyrządu zrobiony już otwór, a w nim osadzona soczewka, odsłaniająca się w chwili działania. Po prawej stronie, na tabliczce, znajduje się napis wskazujący monetę, jaka ma być wrzuconą w szparę; po lewej, przy odpowiednim napisie — znak na który osoba fotografująca się wzrok swój zwrócić powinna. Powyżej soczewki są cztery tarcze zegarowe, również opatrzone napisami, po których przebiegająca wskazówka objaśnia czynność jaką przyrząd kolejno we wnętrzu swem wykonywa.

Po wrzuceniu monety, na pewien czas, zanim usunie się przegroda zasłaniająca otwór, t. j. zanim wysuniętą zostanie klisza fotograficzna, wskazówka staje na napisie „Gotuj się“, następnie na „Baczność“, wreszcie na „Pozuj“. Przez cały czas przechodzenia wskazówki po tych napisach, wynoszący około 6 sekund, słychać dzwonięcie.

Po upływie mniej więcej pięciu minut wysuwa się portret gotowy. Kto zna manipulacje wykonywane przez fotografów z celem zdjęcia fogramu i utrwalenia go, ten z łatwością pojmie

jak skomplikowanym jest przyrząd nowo-wynaleziony, działający najzupełniej automatycznie t. j. bez udziału człowieka.

Postaramy się wkrótce opisać pracę tej martwej maszyny, ożywionej chwilowo, prawie już dziś wszechpotężną siłą, którą zowią elektrycznością.

Fotograf, jak wiadomo, otrzymuje w swym aparacie negatywę, czyli podobiznę ujemną, którą ze szkła przenosi na papier. Metoda podobna wymaga dosyć znacznego czasu, dla tego wynalazca zastosował w swym przyrządzie znacznie krótszą zwaną *ferrotypią*, w której płytę szklaną zastępuje cienka blaszka żelazna, powleczone japońskim werniksem, czarnym i błyszczącym; znajduje się na niej płynna warstwa kollydionu, a po zanurzeniu się w naczyniu zawierającym roztwór azotanu srebra (lapisu), przesuwa się automatycznie do ciemni optycznej i dostaje pod działanie światła wpadającego przez otwór zewnętrzny, a wraz ze światłem utrwała się na owej blaszce i obraz przedmiotu znajdujący się przed otworem i na wern ksie odbija się najdokładniej. Przyrząd zatem wykonywa następujące operacje: nakollydionowywa płytę, przeprowadza ją przez kąpiel w roztworze lapisu, a wystawiwszy następnie na działanie światła przez pewien oznaczony czas, utrwała obraz, następnie płytę obmywa, suszy, wreszcie pokrywa werniksem i wyrzuca nazewnątr.

Zajrzyjmy teraz do wnętrza dowcipnego przyrządu. W dolnej części pomieszczone są akkumulatory t. j. zbiorniki elektryczności, wprawiające w ruch cały mechanizm, w górnej zaś części zbiorniki zaopatrzone w niezbędne do fotografowania preparaty, w środkowej wreszcie sam mechanizm, wykonywający operacje fotograficzne.

I tak najpierw w górnym przedziale, znajduje się stos przygotowanych blaszek żelaznych, porozielenych ramkami, w które po dokonaniu operacji zostają oprawione. Blaszka taka dostaje się na wózek posuwany za pośrednictwem stosownego drażka i przesuwa płytę z jednego przedziału do drugiego, ramkę zaś wydalą natychmiast z przyrządu nalewo.

W pierwszym przedziale płyta pokrywa się warstwą kollydionu, wyciekającego ze zbiornika, który znajduje się w części górnej, a zakryty jest błoną kauczukową dla zapobieżenia parowaniu płynu, który jedynie kroplami ścieka na blaszkę utrzymywaną przez stosowne podpory w należytem nachyleniu. Gdy już dostateczna ilość płynu wyciekła i odparowała, mechanizm chwyta płytę i przesuwa ją do przedziału następnego; tam ją pogrąża w naczynie zawierające roztwór azotanu srebra, na przeciąg jednej minuty, i po wydobyciu z niego, w celu usunięcia nadmiaru cieczy, kilkakrotnie nią wstrząsa.

W taki sposób przygotowana klisza przesuwa się do przegrody pomieszczonej przed soczewką, która odsłania się i następuje działanie światła, w tej chwili rozlega się właśnie dzwonięcie, ostrzegające, aby osoba pozująca pozostawała nieruchomo. Obraz jednakże jeszcze nie jest gotowym. Płyta przeniesioną jeszcze zostaje do jednego z wyżej położonych przedziałów. Znajduje się on pod lejkiem, zaopatrzonym w sitko, z którego wylewa się płyn jednostajnie, a działaniem swoim sprowadza to, co się nazywa „rozwinieniem obrazu“. Z tegosamego lejka wycieka następnie woda, obmywająca kliszę i przepłukująca kran. Następnie płyta przechodzi do poniżej pomieszczonego naczynia, napełnionego cyankiem potassu, dla utrwalenia obrazu, poczem raz jeszcze powraca pod lejek dla powtóronego opłókania wodą. W ostatnim przedziale sztuczny fotograf przemycza ją alkoholem i powleka warstwą werniksu z gumilakki; nakoniec przez kilkanaście sekund zatrzymuje ją nad rurą ogrzaną przez lampę dla osuszenia, i dopiero potem wszystkim wyrzuca fotografią nazewnątr. Ponieważ długość czasu, przez który soczewka musi być odsłonięta, zależy od natężenia światła słonecznego, t. j. im światło słabsze, tem czas ten musi być dłuższym, i odwrotnie, w tym celu p. Enjalbert urządził regulator, za pośrednictwem kommutatora czulego na promienie światła, który stosownie do jego siły zatrzymuje otwór odsłoniętym przez czas krótszy lub dłuższy.

Jeżeli tak skomplikowany przyrząd będzie swą funkcją spełniał należycie, nie można wątpić o powodzeniu jego; w każdym razie przyznać należy p. Enjalbert niezwykłą inwencją i można twierdzić, że w niedługim czasie otrzymamy cały szereg nowych automatycznych przyrządów, poruszanych siłą elektryczną.

*

*

*

W okolicach pod zwrotnikowych Ameryki Południowej znajdują się rzeki, głównie wpadające do Orinoko lub Amazonki, w których kolor wody jest ciemny (*aguas negras*). Już Humboldt wspominał o tem zjawisku. W wielkiej massie kolor wody jest kawowy albo zielono-brunatny, w cieniu zaś czarny jak fussy kawowe, a w szklance mniej lub więcej żółto-brunatny. Mimo to woda jest zupełnie przezroczysta i najzupełniej zdatna do picia. Kamienie opłókiwane przez taką wodę nie czernieją, a ciemny kolor jej znika, gdy ją zmieszamy z wodą bezbarwną. W ostatnich czasach Muntz i Marciano ponownie poddawali analizie takie czarne wody. Według nich zawierają one w litrze 0,028 gram substancji organicznych, prawie wyłącznie złożonych z owych kwasów, które tak obficie znajdują się w pokładach torfowych, a zwanych kwasami humusowymi, których naturę dotąd jeszcze mało poznano. Woda czarna daje reakcją wyraźnie kwaśną, t. j. papier lakmusowy zabarwia naczerno, a bardzo jest ubogą w części mineralne (0,016 gram w litrze). Wapnia i azotanów nie zawiera wcale; brak tych ostatnich znajduje się właśnie w związku z własnością zachowywania przez czas dłuższy ciemnego koloru. Utrata zabarwienia po zmieszaniu z wodą zwykłą pochodzi ztąd, że wapiń tej ostatniej neutralizuje kwas humusowy, jaki zawiera woda czarna.

*

*

*

O piasku grającym po raz pierwszy spotykamy się w literaturze w roku 1876, mianowicie wspomina o nim Meyr w swych „geognostycznych opisach wyspy Sylt.“ Według tego autora wydaje z siebie piasek kwarcowy jurajskich gór na Bornholmie, przy każdym zrobionym na nim kroku, szczególnie przy cokolwiek szybszym chodzie, skrzypiący, ostry ton. Według tegoż autora i piasek na brzegu morza w Kołobrzegu w Pomeranii pod stopami przechodnia ma wydawać tony. Według Berendta i piasek nadmorski innych brzegów morza posiada własność wydawania, raz cichszych, drugi raz głośniejszych tonów: ma to jednakże miejsce nie o każdym czasie: „gdy jednego dnia, w pewnym miejscu, tony te są tak silne i przeraźliwe, że przechodzień zmuszony jest zatykać uszy, nazajutrz już, nawet przy wysiłkach, niepodobna wydobyć żadnego tonu.“ Berendt zauważył, że najłatwiej powstają owe tony gdy, po odplywie morza piasek zostanie szybko wysuszony przez słońce albo wiatr, że przeto własność grania lub niegrania zależną jest od stopnia wilgotności lub suchości piasku, a nie od jego składu.

Do podobnego przeświadczenia doszedł i profesor Carrington Bolton z Nowego Yorku, który badał od dawniejszego już czasu brzegi w bliskości Suezu a wyniki ich ogłaszał w gazetach. Opisał przez Seitzena w roku 1808 „góra śpiewająca“, odwiedzana i opisywana później i przez innych podróżników, a między nimi i Ehrenberga, znajduje się o 4½ godzin odległości od brzegu wschodniego zatoki suezkiej, posiada 1,200 stóp wysokości, składa się z białego piaskowca, a zachodnie i północne jej stoki pokryte są delikatnym żółtym piaskiem napływowym. Jeden ze stoków tego wzgórza, pochylony do poziomu na 31°, na wysokości 394 stóp, u spodu mający 260 a u wierzchołka 5 do 8 stóp szerokości, posiada własność wydawania z siebie *głębokiego* tonu z chwilą gdy piasek, czy to przez wiatr, czy też ręką lub nogą zostanie poruszony. Ton ten jest zupełnie różnym od jasnego, dźwięcznego tonu, o jakim mówiliśmy wyżej; przypomina raczej bas, jaki wydają piszczałki organu, albo głos z dali słyszanego grzmotu. Między Beduinami panuje

przesąd, że tony te pochodzą z klasztoru mieszczącego się we wnętrzu góry, a mianowicie z bebenka (Nagus), jaki dzisiaj jeszcze używanym jest w klasztorze synajskim i dla tego śpiewającą tę górę zowią Szebel Nagus.

Carrington-Boltonowi udało się d. 6 Kwietnia r. b. odkryć jeszcze jedną miejscowość z takim śpiewającym piaskiem, mianowicie w Wadi Werdan na pagórku nazwanym przez zamieszkałych tam Beduinów „Ramadan.“ Na stokach tej góry, składającej się z konglomeratu, piaskowca i gipsu, nagromadziły się znaczne ilości delikatnego piasku, naniesionego przez wiatr. Piasek, leżący na pochyłości 31° stopniowej, posiada wielką ruchliwość, tak, że sprawione w nim zagłębienie znika w jednej chwili, wskutek zasypiania przez staczające się wyższe pokłady. Przytem powstaje głęboki ton, wprawdzie nie tak głośny, jak na Szebel Nagus, ale doskonale słyszany z odległości stu kroków. Gdy piasek po zimnej nocy stał się bardziej zbitym, nazajutrz tonów już nie można było usłyszeć.

Bolton zjawiska tego w zatokach nie uważa za rzadkość. Wygłasza on zdanie, że wszędzie tam, gdzie pochyłość wynosi 31° i jest pokryta delikatnym, suchym piaskiem, poruszona jego warstwa może wydawać pewne dźwięki. Badacz amerykański uprasza wszystkich, którzyby mieli sposobność napotkać podobny śpiewający piasek, aby mu donosili o tem do Kairu (Shepherd's Hotel).

*

*

*

Wspominaliśmy już w jednej z poprzednich kronik, że wieża Eiffla nie jest zbudowaną jedynie dla zabawy, jak to powszechnie mniemają. Uczeń prowadzący na niej ciągle doświadczenia naukowe, za pośrednictwem których udało się już osiągnąć pewne nowe odkrycia. I tak badania Janssena w obserwatorium w Meudon, odległym od wieży o 7.700 metrów, mianowicie na widmie promieni świetlnych przybawających z jej wierzchołka, przekonały, że linie tlenowe, czarne w widmie słonecznym, są pochodzenia ziemskiego, a atmosfera słoneczna nie wywiera na nie żadnego wpływu.

Prócz tego na najwyższym balkonie wieży Eiffla, mającym około 1,6 metra średnicy, założono centralne biuro meteorologiczne w którym pomieszczono samopiszzące przyrządy Richard'a. Znajduje się tu termometr, hygrometr, pluwiometr, anemometr i t. p. Przy pomocy odpowiedniego przyrządu elektrycznego badania te, dokonywane się na wysokości 300 metrów nad powierzchnią ziemi, przenoszone są do biura meteorologicznego, tak, że można w każdej chwili dowiedzieć się o stanie atmosfery na powyższej wysokości.

Ciekawe są dane otrzymane przez anemometry, to jest przyrządy wskazujące szybkość wiatru. I tak, gdy pewnego dnia przy ziemi szybkości wiatru wynosiła tylko 4 metry na sekundę, na wysokości 300 metrów dochodziła 12 metrów. Z tego wnosić już można, jak ważnemi dla nauki będą obserwacje prowadzone na wierzchołku wieży, z której płytkie umysły — chyba przez nienawiść do rzeczypospolitej i do Francuzów podkpiwają sobie — dla własnej chyba uciechy.

Dr. J. Starkman.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 5 Lipca, 1889 r.

(Spóźnione).

Wystawa i jej wpływ wszechmocny. — Co tu nowego. — Jeszcze wieża Eiffla. — Oddział sztuk pięknych i ich pałac. — Przegląd porównawczy i wrażenia. — Matejko i niebezpie-

czne sąsiedztwo. — Patryotyzm i sztuka. — Hiszpania i Anglia. — Mobilizacja francuska. — Jej wpływ i znaczenie. — Malarstwo przed wiekami. — Zabytki Grecko-Egipskie. — Zbiór p. Grafa z Wiednia. — Bezrobocie furmańskie. — Jak się przedstawia ta kwestya? — Furman paryżki i jego: *Curriculum Vitae*. — Co się dzieje w izbie Poselskiej? — Sprawa Jakóba Meyera. — Minister sprawiedliwości. — Przyszłe wybory. — Prognoza. — Głos p. Gobleta. — Kongres własności literackiej. — Juliusz Simon i jeden z wielkich portów.

(Dokończenie.)

Jeśli, jak mówiłem na początku, wystawa pochłania i zagłusza wszystko — to nie nie zdoła przecież przeszkodzić temu, żeby chwast miejscowych zająć, wasni i walki o lepsze, nie zalegał obficie paryżkiego bruku. Z naszego polityko-socjalnego horyzontu nie zniknęło nic dotąd, co nam dawniej groziło; ani anarchiści, ani radykały, ani Boulanger, ani Rochefort — nie zesłali z pola, usunęli się tylko trochę dalej — a to, jak powiadają, aby lepiej skoczyć w danej chwili.

Jako dalszy ciąg tego nieładu, w jakim żyjemy, mieliśmy tu w pierwszych dniach Czerwca bezpaństwo furmańskie, *alias* bezrobocie — albo, jak się mówi polodomeryjsku, *strejkowanie* fiakrowych furmanów. Wie to dyabeł co tam jest wewnątrz tego kłębka, który się zowie *kwestya furmańska!* kto tu winien: czy właściciel niepachnących fiaków i dychawicznych koni — licząc w to dwie kompanie przedsiębiorcze — czy furmani, którzy z biczykami w rękach przyjmują poważny urząd woźnicy?

Pierwsi, potrzebując wielkich kapitałów na utrzymanie koni, powozów, uprzęży — radziby zyskać jaknajwięcej a, skarżąc się na okradanie przez woźniców, ustanawiają wysoką sumę dziennego zarobku. Drudzy, utyskując znowu na nadmierną wysokość tej sumy, żądają jejniżenia. Cała kwestya jest w tem, że kontrola zarobku dziennego nie może być wykonywana z należytą ścisłością, a obrachunek zarobku woźnicy w żaden sposób nie może być dokładnie zrobiony.

Dla zaradzenia temu woźnicy znaleźli jedyny sposób: odmówić służby. „Dobrze — powiadają na to kompanie i właściciele — znajdziemy innych“. Na to znowu woźnicy zawiązali ligę, zaprzestali pracy i gwałtownie przeszkadzali pracować tym, którzy odważyli się nie trzymać z większością. Ztąd bójkę, gwałty, obrzucanie błotem tych nieszczęśliwych, co wsiedli do zakłętą powozu — wyprężanie gwałtem koni i t. p.

Na szczęście, minister, p. Constant nie zważając na krzyki braci radykałów, pokazał zęby i zmusił woźniców do porządku — „Nie służ, jeżeli nie chcesz, ale nie waż się przeszkadzać innym, jeśli chcą służyć“. Powoli wszystko to się utarło, bo przewódzcy, na których nigdy nie zbywa, widząc, że rząd nie chce dać się im rządzić poswojemu, spuścili z tonu, a gdy, dzięki powiększonej i coraz wzrastającej klienteli, zyski przychodzą z łatwością, cała ta armia woźniców popowracała na kozły.

Potrzeba być Paryżaninem i mieć dó czynienia w rozmaitych okolicznościach życia z dorozkarczem paryżkim, aby mieć wyobrażenie, do czego dojsć może zuchwałstwo. Byle tylko trochę przykropił deszczyk, zaraz furman staje się drażliwym w stosunkach z każdym mieszczuchem aszczególnie z mieszczanką. Wołaj go, i jak chcesz, nawołuj; nie zatrzyma się bynajmniej, bo jest pewny, że na każdym kroku znajdzie klientelę. Ma więc pewnego rodzaju przyjemność w pokazywaniu swej fantazyi i wyraźnie przebiera między publicznością, zachowując swe łaski tylko, dla tych, u których domyśla się szerokiej ręki.

Przy każdej stacyi powozów są przynajmniej dwie szynkownie. Tam zasiadłszy wygodnie, bawi się dorozkarz rozmową, gra w karty, wychyla kieliszki — i kpi sobie z tego, co go woła na kozioł. Brutalstwo tej klasy znane jest i weszło w przysłowie. Za najmniejszą okkazyją, gotów ci nawymyślać od ostatnich słów — a w razie oporu nawet użyć biczyka. Poblażanie wyborcze dało im pewiant rodzaj bezkarnej pewności, a zatem *regnant et imperant*. Jeśli więc dziś na chwilę mamy spokój na kozle, to nie potrwa długo, bo na ostatniej walce niewiele wygrawszy — niezawodnie ją ponowią w nadziei lepszego rezultatu.

Ale czy może być inaczej? wszak, jak to powiada staropolskie przysłowie: „Od głowy ryba traci”. Nasi panowie posłowie, dają w tej chwili, jak na *Valete* przykład takiego nieładu, brutalstwa i prawdziwie wyuzdanych namiętności, jakie, nie były praktykowane w świecie od czasu owego osławionego parlamentu, który Cromwell musiał kijem rozpedzać.

Niepodobna jest wyobrazić sobie, aby ludzie, zebrani do rady, w sprawach największej wagi jakiegoś narodu, mogli się poniżyć do podobnych, wzajemnych gwałtów, jakich jesteśmy świadkami w tym czasie. Doszło już do tego, że, przewidując wyzwanie na pięści, p. Andrieux, zagroziły bulanżerzyk, były prefekt policyi, a osobisty nieprzyjaciel ministra finansów Rouvier'a, ukazał się na jednym z ostatnich posiedzeń uzbrojony, jak Albańczyk jaki — w parę rewolwerów za pasem.

Niema posiedzenia, niema kwestyi, któraby się nie skończyła jakimś zapytaniem, jakąś insynuacją, wymierzoną przeciw ministerium, z zarzutem przekupstwa, jeżeli nie kradzieży. Broniące się zaś ministerium oddaje ząb za ząb, i nie oszczędzając nikogo — wszystkich złodziei kładzie do jednego worka.

Wszystko daje powód do starcia, wszystko jest dobre, co wpadnie pod rękę; wyścigi za skandalem nie ustają ani na chwilę. Zdaje się jakgdyby nie było sprawy ważniejszej dla całej tej Izby poselskiej nad osobiste wzajemne zarzuty i krzywdzące przypuszczenia. Kraj jest znużony, a opinia publiczna, jakkolwiek poświęciowana, jednego tylko się domaga: odprawy posłów i radykalnej zmiany w prowadzeniu interesów publicznych; skoro nastąpi zamknięcie Izb, po skończonych dyskusjach nad budżetem, kraj odetchnie swobodniej, czekając przyszłych wyborów. ¹⁾

Mieliśmy tymczasem intermedyum, którego mętna i brudna woda obryzgała większą część parlamentarnej rzeszy. Pociągnęło ono za sobą wykluczenie czasowe z Izby posła z prawicy, Cassagnaca, a dotknęło drażliwie ministerium w osobie ministra sprawiedliwości, p. Thévenet'a.

Powodem do tej zawieruchy była sprawa bankruta Jakóba Meyer'a, byłego dyrektora Banku Paryżskiego, który przed rokiem uciekł z Paryża, zostawiając pięć groszy w kassie a deficyt kilkunastu milionów.

W swoim czasie ten krach narobił tu niemałego hałasu, szczególnie z powodu, że ów p. Meyer, dawniejszy urzędnik państwowy, prowadził sławną koalicją finansową, której celem było obalenie uprzywilejowanej instytucji Banku Francuzkiego (*La Banque de France*). Wtenczas już przebąkiwano, że pewne rządowe osobistości, wysoko postawione, maczały ręce w tej sprawie i że ów Meyer był tylko — jak tu nazywają: *słomianym człowiekiem* parlamentarnej koalicji radykalnego stronnictwa. Jakkolwiekby, dowiedzioną było rzeczą, że dzisiejszy minister sprawiedliwości, wówczas deputowany tylko, był doradcą i przyjacielem Jakóba Meyera.

Kiedy więc po długim polowaniu na zbiega w ostatnich czasach przytrzymano go w Belgii, kiedy stawiony przed sąd, skazany został na rok więzienia, jako bankrut i oszut — dzienniki opozycyjne zaczęły gwałtownie napadać na p. Thévenet'a, a ten broniąc się, ogłosił list, jakoby znaleziony w papierach Meyera u jego matki, w którym obiecywano mu ze strony Bulanżystów swobodę i znaczne summy, jeśli się zgodzi całą tę sprawę zwalić na p. Thévenet'a i jego kolegów, jako promotorów koalicji przeciw Bankowi Francuzkiemu. Naturalnie, że opozycya przedstawiała to tylko za manewr ministerialny, w ostatniej wymyślony potrzebie, i list ów kazała uważać za sfałszowany; przecież nie dowiodła jego fałszywości, a wrażeń z ogłoszenia było niezmiernie. Trudno wiedzieć: gdzie jest prawda, a tymczasem obrzucano się błotem, nie oszczędzając ani obelgi, ani najszkaradniejszych insynuacji.

Na takiej-to stoimy stopie, w chwili właśnie, kiedy wystawa powszechna w całej swej pełni sprowadza gości z całego świata, aby zblizka mogli się przypatrzeć, do jakich ostateczności może sprowadzić nadużycie wolności. Jakie wrażenie sprawi to w kraju w przeddzień powszechnych wyborów, nie łatwo zgadnąć; chociaż bowiem konserwatyści przepowiadają sobie wielkie i walne zwycięstwo, trzeba powiedzieć przecież, że kraj w ogólności jest tak przesycony radykalnemi i skrajnemi mrzonkami, i że zaraza, z której umiera dzisiejsza Izba, przenika już do rdzenia narodu.

Dzisiejszy stan Rzplitej jest może jedynym gruntem, na którym najłatwiej byłoby sprowadzić perozumienie się ogólne. Ale porozrywane na drobne odłamy stronnictwa zachowawcze we Francji nie posiadają skupienia potrzebnego do zwycięstwa.

Jednym słowem: niezadowolnienie powszechne — oto stan kraju. A prawdziwy powód — jak się wyraził niepodejrzany o stronność p. Goblet — leży całkiem w bezsilnej niemożności ciała prawodawczego, to jest parlamentu, w bezsilności, która w ciągu czterech lat ostatnich uczyniła niemożliwym wszelki rząd i władzę i wszystkie projekta reformy. A z kąd pochodzi sama ta bezsilność? z tego podwójnego źródła: z niedostatku silnej i rozumnej większości w Izbie Deputowanych i z rywalizacji obu zgromadzeń składających parlament dzisiejszy.

Dodajmy tu następne słowa jednego z najpoważniejszych tutaj publicystów, a obraz będzie zupełny: „Wszyscy są dziś znużeni i z obrzydzeniem patrzają na te codzienne inwektywy dziennikarskie, na te obelgi, miatane w twarz przeciwnika, nate obmowy i śmieszne wymysły z wielką wrzawą rozrzucone dokoła w dziennikach rozmaitych stronnictw. Gdy nastanie dzień *prawa milczenia*, jeśli jaki dziennikarz umiarkowany i niezawisły spróbuje podnieść głos w obronie prawa wolnego pisania.

— „Ale, chciejże przeczytać — odpowiedzą mu — chciej zauważyć do jakiego stopnia spodłiła się prasa, podczas tej walki na noże... i to właśnie w tym roku wystawy, który powinien być rokiem pokoju i zgody wobec cudzoziemców, przybyłych zewsząd. I nikt się nie użali nad tą prasą, wyuzdaną i zgniecioną, a każdy powie: sama ona szukała i chciała tego, co ma.

Na tem skończymy dzisiaj — bo chciałbym jeszcze dodać tu słów kilka o kongresie własności literackiej, który się tu odbył dość świetnie pod opieką Towarzystwa Literatów (*gens des lettres*) a z czynnym udziałem stowarzyszenia literacko-artystycznego międzynarodowego, którego od lat ośmiu jestem jednym ze stałych prezesów.

Wspomnienie o czynnościach tego kongressu, wiem, że niewiele was obchodzi, a to z tej przyczyny, że żyć z tłumaczeń obcych bardzo jest wygodnie dla naszych wydawców. Ztąd lekceważenie wszelkich usiłowań, czynionych w celu prawnego zabezpieczenia własności literackiej i artystycznej. Kongres odbył się tym razem z pewną ostentacją i blaskiem. Delegowani przybyli w większej, niż zwykle, liczbie, a minister oświecenia przyjął ich, jakby ich miał pod swą urzędową opieką — na czem dotąd zbywało. Ale nie chcę obciążać korespondencyi zdaniem sprawy z czynności tego kongressu, który się odbywał od 17 do 27 Czerwca; powiem tylko słów kilka z powodu okoliczności, która zaszła właśnie na posiedzeniu publicznem otwarcia.

Prezydencją tego kongressu, z powodu połączenia dwóch towarzystw: „*Des Gens des lettres*“ i literacko-artystycznego międzynarodowego, przyjął znakomity Juliusz Simon. Znana to wam dobrze osobistość, i jako pisarz, i jako mąż stanu: nie mam więc potrzeby rozwodzić się nad zaletami, jakie posiada, i które mu wszędzie i zawsze pierwsze zapewniają miejsce. Powiem tu tylko, że wiek i doświadczenie nadają mu tę pewność, z jaką w każdym publicznem przemówieniu umie on dotknąć najczulszej strony ducha swoich słuchaczy.

W liczbie delegatów znajdował się P. Władysław Mickiewicz — zarazem vice-prezes tej sessyi,

1888—89 roku. Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego. Jako delegat, miał on obowiązek przemówić słów kilka i podziękować rządowi, który łaskawie udzielił swojej opieki, gościnnem podjęciem kongresu. — Tu przemówienia każdego z kolei delegata następują po sobie, w porządku przepisany naprzód na liście, według której przydujący daje głos każdemu, bez żadnej osobnej wzmianki lub uwagi.

Otóż, po krótkim przemówieniu słów kilku, przez p. Wł. Mickiewicza, nagle i *motu proprio* Juliusz Simon powstał z miejsca i przemówił do publiczności w następujące słowa:

„P. Mickiewicz, który dopiero-co przemówił do Was — jest nie tylko delegatem za ten kongres, ale nad to jeszcze, jest synem wielkiego a znanego wam wszystkim poety. Francya, nie tylko przyjęła niegdyś gościnnie sławnego poeę, ale mu otwarła katedrę w Kollegium Francuzkiem — a sława, którą on ją okrył, przytomna jest i dotąd, w pamięci nas wszystkich...“

TATRZAŃSKI PRZEWODNIK.

OBRAZEK

przez

Melanję Parczewską.

Gwarno było i wesoło w schronisku przy Czarym Stawie, pod Kościelcem; nadciągająca burza zgromadziła powracających z wycieczek taterników. Stary Gąsiennica oddawna tak licznych w swoim szalasię nie podejmował gości. Często wano się wzajemnie; przewodnicy w wir ogólnej rozmowy dorzucali swoje uwagi i żarty, i chwilami, śmiechem głośnym, jak spadek Siklawy, głuszyli wycie szalejącego na szczytach wichru: Jeden tylko z nich, Jontek, siedział na uboczu, i wlepiwszy oczy w płonący ogień, nie podzielał ogólnej wrzawy i wesołości. Nikt na niego nie zwracał uwagi; przewodnicy znali usposobienie Jontka, wiedzieli, że ani śmiać się, ani rozmawiać nie lubił z nikim. Z pierwszym uderzeniem piorunu zadrzały ściany schroniska. Kolumny deszczu uderzały z łoskotem w czarną powierzchnię Stawu. O nagie szczyty skał rozrywały się gnane wichrem chmury i, jak kozice, przelatywały z jednej turni na drugą. Mijały Granaty, Krzyżne, Koszysta, aby w wędrowce swej rozbić się w końcu o krużganki ludowych szczytów. Od Zawratu huczały fale spienionych potoków, rozlegał się trzask i łomot upadających drzew. Zdało się, iż wszystkie granitowe złomy, torujące podróżnym dobrze znany szlak do Morskiego Oka, zapadły w otchłań bezdenną.

Burza nie trwożyła zgromadzonych w schronisku. Rozhukane żywiły, potęgowały dziką piękność przyrody. W milczeniu spoglądali wszyscy na pełen grozy i majestatu obraz. Przewodnicy zabawiali się na swój sposób, zmiatając ze stołu przyniesione z sobą zapasy żywności.

— Patrz! — szepnął jeden z panów do swego towarzysza — co to za grube natury, ci górale zakopzańscy. Nic ich nie wzruszy, żadnego poczucia piękna, obojętni na wszystkie zjawiska natury, zimni, jak otaczające ich góry.

— Co chcesz! Konia z rzędem temu, kto wykrzesze iskrę poezyi w piersi naszego chłopca. Komunął wszystko co na ten temat piszą i mówią, — odparł zaczepiony, lornetując zawzięcie ni knące w chmurach turnie.

— Już po naramnicy ¹⁾ — wtrącił jeden z przewodników, Roy.

1) Izby zakończyły swe posiedzenie w dniu 15 Lipca. (Przyp. Red.)

1) Burza.

— Bo to nie widzisz, że deszcz zaczyna padać, a dymy²⁾ spuszczać się na dół: ani myśleć o powrocie — zawyrokował drugi, Józek Pęksa — do rana muszą czekać.

— *Bravo!* zostaniemy. Pęksa zaśpiewa nam i zatańczy góralskiego — odezwało się na raz kilka głosów.

— Panowie! — zawołał ów taternik, odmawiający góralom pocucia piękna — ja muszę wracać, na dzisiejszy „réunion“. Zamówiłem damy; bądź co bądź, muszę być w Zakopanem.

— Aaa! parolista! zawstydz nas swoją słownością, trubadur! średniowieczny rycerz! spiesz po uśmiech wybranej — żartowali towarzysze, otaczając kołem pana Karola.

— Dymy co cud; jeszcze się zabiją — ostrzegal jeden z górali.

— Lepiej niech zostaną, jutro rano pójda wszyscy razem — doradzał drugi.

— To ja ich odprowadzę — wmieszał się do rozmowy, milczący dotąd Jontek.

— Haj! z Jontkiem, mogę iść na Łodowe Wierchy.

— Ano, to niech idą — przemówił powtórnie Jontek, spoglądając ponuro na obecnych.

— Do widzenia! do jutra, bohater, trubadur! — powtarzali panowie, żegnając pana Karola. — Bohater, otulony pledami, z tryumfalną miną, opuścił wraz z Jontkiem schronisko.

Aż do gąsiennicowych szałasów przewodnik uparcie milczał, a zapytywany kilkakrotnie, żadnej nie dawał odpowiedzi. Pan Karol, przyzwyczajony do wesołości górali, niemile był dotknięty usposobieniem Jontka. Podnosiło ono ujemne wrażenia przykrej i męczącej drogi. Z każdą chwilą stawała się ona uciążliwszą, wprost: niemożliwą do przebycia. Mgła opadała na ziemię; w morzu jej tonęły okoliczne szczyty. Wytworzone przez deszcz potoki szumiały głucho. Nogi, zesuwać się z obślizgłych kamieni, grzęzły w błocie; nawet z pomocą siekierki trudno było utrzymać równowagę.

— Niech się nie boją, niech idą za mną wartko — były to pierwsze słowa, jakie usłyszał Pan Karol z ust Jontka.

— Z takim, jak wy, przewodnikiem, i na Łodowe, gotów jestem iść Wierchy — odpowiedział, a znużony już przystanął na chwilę.

— Oni nie pierwszy raz w Tatrach? — zapytał góral, opierając się o złam granitu.

— Przed kilkunastu laty byłem w Zakopanem — odparł pan Karol, zadowolony, iż nareszcie rozwiązał się język przewodnikowi.

— Przed dwunastu laty byli pierwszy raz, prawda? — rzucił znów pytanie góral.

— Doskonałą macie pamięć, gdyż ja was sobie nie przypominam wcale.

— Ale ja ich nie zapomnę nigdy, czekałem na nich, jak na zmiłowanie Boże, czekałem... i nakoniec przyjechali.

Pan Karol sądził, iż jakim hojnym datkiem zaskarbił sobie pamięć górala.

— Pewnie chodziliście ze mną na wycieczki? Jontek pograżył się znów w milczeniu.

Mgła opadała coraz niżej. Białe jej zawoje coraz ciasniejszym węzłem otaczały obu idących. Na odległość kilku kroków nic nie można było widzieć przed sobą. W ciemnej przestrzeni błyszczały tylko czarne, ogniem świecące oczy górala.

— A Jagniasię, córkę starej Reiny, pamiętają? — zaczął Jontek.

Pan Karol rozśmiał się w duszy na to pytanie; myślą przebiegał wspomnienia pierwszego pobytu w Tatrach, lecz ani Reiny, ani Jagniasię nie mógł sobie przypomnieć.

— Nie pamiętają! a ja myślałem że oni jej nigdy nie zapomną — przemówił z bolesnym wyrzutem Jontek. — Dziś nie pamiętają Jagniosię, ani Hali Królowej, a przed dwunastu laty pamiętali co dzień z kolegami chodzić do szałasów, bo tam żętycę podawała co cud Jagna. Oni nie pamiętają, ale ja ich pamiętam dobrze.

W miarę, gdy mówił, głos mu rósł, potężniał, i drżał od wrzucenia. Ostatnie słowa górala przypomniły panu Karolowi pierwszy pobyt w Zakopanem i wycieczki, które, jako słuchacz Politechniki, odbywał wspólnie z kolegami. Kilkanaście dni pobytu w Tatrach, w gronie wesołych towarzyszy, przeszło jak jedna chwila. Szalas na Królowej Hali stanął mu przed oczyma i wywołał z pamięci ładną góralkę, do której wszyscy uśmiechali się wdzięcznie, a on za żętycę płacił w dodatku uściskami. W żartach nazywał ją „królową hali“, ale gdy raz wyjechał z Zakopanego, zapomniał już i o istnieniu Jagny.

Wymówki Jontka rozgniewały pana Karola.

— Co chcesz? — zapytał wyniosłe, mierząc wzgardliwym spojrzeniem górala.

— Nic nie chcę — zasyczał Jontek. Guńka ciążyła mu na plecach, jednym ruchem rzucił ją o ziemię.

— Cóż to? Chcesz mnie zabić? coś ty za jeden?

— Oni zabili Jagniasię, teraz ja ich chcę zabić. To oni nie wiedzą, że ona była moją, że gdy ja z panami drapał się na wierchy, oni zachodzili na hale, śmiali się i żartowali z głupiej dziewczyny, a po ich odejściu to już ani patrzeć na mnie nie chciała. Czarne oczy i gładkie słowa zabiły góralską dziewczkę; porzuciła matkę, mnie, całą chudobę, góry nasze, i poszła na węgierską stronę, uciekła z żalu za nimi. Ona była moja *fräirolka*, a oni mi ją zabrali. No! teraz to już wiedzą kto ja jestem — dokończył, zaciskając pięści.

Pan Karol w milczeniu słuchał skargi górala. Pałący wzrok Jontka przeszywał go do głębi; parolista taternik czuł gorący oddech jego piersi. Nienawiść i zemsta malowały się w suchej, przedwczesnie zwiędłej twarzy; zęby, białe, lśniące, szczękały, jak w febrze.

— Ja ich zabiję, w przepaść rzucę, jak orlą rozbiję o turnie i nikt, nikt nie będzie wiedział — mówił, podnosząc w górę toporek.

Pan Karol nie był tchórzem; wyzwany do walki, śmiało, na otwartym polu stawiał przeciwnikowi czoło, lecz widok przejętego zemstą człowieka, zachwiał jego odwagę. Mgła ciemna wytwarzająca w przestworze jakby noc listopadową, tamowała mu oddech w piersiach i mroziła go do kości. Nie myślał już o obronie, lecz bezsilny, złamany, oczekiwał końca.

Jontek, napawał się widokiem swojej ofiary. Długo tłumiona boleść wybuchnęła z całą gwałtownością, podniecając w nim żar dzikiej namiętności. Mary wszystkich zabitych, pogrzebanych snów młodości stanęły mu przed oczyma i popychały go do zbrodni. On tak gorąco pragnął, tak oczekiwał chwili, w której oko w oko spotka się ze swoim wrogiem! On musi go zabić, musi wziąć z niego odwet za ciężką krzywdę, jakiej od niego doznał.

Gdy z wiosną goście zjeżdżali do Zakopanego, on nie cieszył się, jak inni, nadzieją zysku, lecz cichy, milczący chodził z wycieczki na wycieczkę, zaglądał wszystkim podróżnym w oczy, ręce zaciskał z bólu, złorzeczył panom zwiedzającym ukochane wierchy i trawiony gorączką zemsty oczekiwał nadejścia upragnionej godziny. Na-

koniec! spełnione życzenia, straszny wróg sam oddał mu się w ręce, miał go w swojej mocy. Tu, na tem miejscu, gdzie niegdyś Jagna goniła owce, on go zabije, rzuci w przepaść i nikt o tem nie będzie wiedział. Milczące turnie nie zdradzą tajemnicy. Noc ciemna i mglista zakryje zbrodnię, a huk potoków i wichru, zagłuszy jęki strąconej w przepaść ofiary.

— Tak, ja ich zabiję — wołał przeciągłym głosem Jontek. Pan Karol zdrzął, bezsilny, potoczył się kilka kroków, góral schwytał go z wściekłością; muskularna dłoń wpijała się w delikatne ramię przeciwnika; już tylko jeden krok, a śmierć znajdzie w otchłani. Jontek spojrział przed siebie... i w tej chwili, z głuchym jękiem opuścił ręce.

Zpoza Granatów wychylał się bładny krąg księżycy, oświecając zlekka misterne załomy niebotycznych turni. Gdzieś tam, jak gwiazdy, lśniły na nich płaty śniegu. Ciemna, ponura mgła, rozwiła się w nieskończoność, wzamian coraz widoczniej rysowała się na tle nieba gotycka wieżyca Kościelca i, jak ruiny średniowiecznego zamku, sterczące baszty Świnnicy.

Jontkowi na widok wierchów, oblanych światłem księżycy, jaśniej zrobiło się w duszy. Gwiazdy spoglądały nań tak słodko. Jak pajęczyna lekkie obłoczki przelatywały po niebie, czepiały się turni i wrywały mu z piersi straszny zamiar zbrodni. Czuł się znów młodym, szczęśliwym, jak wówczas, gdy na Liliową biegł dla Jagniasię po kwiaty. Śmiały się do niego hale, turnie i ciemne w oddali regle, zemsta i złość przestały mu szumieć w głowie. Jasność gór nęciła go, przyzywała do siebie. Gotów był paść na kolana i modlić się jak do świętych, których obrazy stanęły mu w tej chwili przed oczyma. Nie! on już nie zabije! Zbójnik czyż mógłby spoglądać na góry tak spokojnie, a turnie, toć całe jego szczęście, całe życie, Jagniasia druga na ziemi.

— Nie! ja już ich nie zabiję, to grzech, hańba — przemówił złamanym głosem — niech idą za mną — dodał po chwili.

Księżyc wzbijał się ponad szczyty; w świetle jego nabierały życia martwe głązy i urwiska. Jontek, milczący jak zawsze, torował panu Karolowi drogę. Siekierką, usuwał kamienie spod nóg, odrzucał postrącane przez nawałnicę gałęzie, w trudniejszych przejściach podtrzymywał go silnie i własną od zimna zasłaniał guńią. Minęli Skupniowy Uplaz, pokryty drzewami Boczań, spienione pod Kuźnicami wody i gdy stanęli przed Tatrzańskim Dworcem w Zakopanem, księżyc ujęty, jak w klamrę, szczytami Giewontu, oświecał u stóp rozrzucone chaty. Pan Karol z rozrzewnieniem ścisnął na pożegnanie dłoń przewodnika.

— Niech nie dziękuje — szepnął zcicha Jontek i smutny i powędrował do sierocej na Kasprzyskich chaty.

W schronisku przy Czarnym Stawie, pod Kościelcem, długo bardzo rozmawiano o prozaiczności wiejskiego ludu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

2) Mgły.

TREŚĆ: Kobiety nad brzegami Wagu i Nitry. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — Błędna Ścieżka. Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — Z działa przyrody, przez J. Starkmana. — Nowiny paryzkie. — Tatrzański Przewodnik. Obrazek przez M. Parczewską.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**